

Pismo.

MAGAZYN OPINII

LISTOPAD 2019 | NR II (23)

PRACA

ESEJ

Czy czeka nas
świat bez pracy?

PODRÓŻ

Ilona Wiśniewska
próbuję rozwiązać
zagadkę sprzed stu lat

Z Olgą Tokarczuk
tuż po Noblu

REPORTAŻ

ZUS: Zakład
Utylizacji
Szczęścia

CENA: 14,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

11>



9 772544 502906

MAGAZYN OPINII Pismo.

LISTOPAD 2019

OPOWIADANIE

Blask | 6
GRZEGORZ BOGDAŁ

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w listopadzie

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 49
HANIA RANI

POEZJA

bez tytułu | 29
JULIA SZYCHOWIAK

OBRAZ

CYKL MIGRACJE **Kurdystan** | 4
KAROL GRYGORUK

FOTOREPORTAŻ **Stolica nędzy** | 38
JULIAN SOJKA

KOMIKS **Przyroda Polski Północnej** | 66
HENRYK

OKŁADKA **Praca szuka człowieka**
PAWEŁ LORENC

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Dzień, kiedy sprzedali Kurdów**
MARCIN WICHA

PORTRET

78 | **Gitanas Nausėda: Będzie inaczej. Albo tak samo**
DOMINIK WILCZEWSKI o prezydencie Litwy: z technokraty w ordonownika państwa dobrobytu

REPORTAŻ

16 | **Kraina katastrof**
FILIP SPRINGER w czwartej odsłonie swojej Podróży do przyszłości

22 | **Na psa urok**
MICHAŁ SZCZĘCH pokazuje, że zwierzę to ciągle rzecz

30 | **Stratni**
JULIUSZ CŹWIELUCH o tym, jak przeżyć na emeryturze – i dlaczego to będzie trudne

94 | **Droga Pani Helgo**
DOROTA BOROJAJ o tańcach na zlikwidowanym cmentarzu i o strażniku pamięci

Z PISMEM U...

58 | **Nathaniela Gleichera**
MICHAŁ WĄSOWSKI rozmawia z szefem cyberbezpieczeństwa w Facebooku

ESEJ

50 | **Postpraca: radykalna koncepcja świata bez pracy**
ANDY BECKETT namawia, byśmy już zaczęli szukać w życiu innego zajęcia niż zarabianie

86 | **Witajcie w nieswoich czasach!**
JAKUB MAJMUREK: wizje przyszłości w popkulturze to diagnoza naszej teraźniejszości

PODRÓŻ

70 | **Strzępy z Wyspy Białej**
ILONA WIŚNIEWSKA pisze z rajy dla poszukujących harmonii i synestetyków

92 | **Moment Nobla**
WOJCIECH SZOT z Tokarczuk tuż po Tej Nagrodzie

Pismo.
Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Mecenas:
empik

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Agnieszka Liszka-Dobrowolska, Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Projekt makiety: Jacek Utko,
Dyrektor Artystyczny: Karol Tyczyński, Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska, Felieton: Marcin Wicha,
Redakcja: Marcin Czajkowski, Zuzanna Kowalczyk, Zofia Sawicka, Mateusz Roesler (wyd. cyfrowe),
Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska, Komunikacja i PR: Agnieszka Odachowska,
Promocja: Ewa Salamon, Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



MARCIN WICHA
(ur. 1972), grafik,
projektuje okładki,
plakaty, znaki
graficzne. Pisarz.
Nagrozdony
Paszportem
„Polityki” 2017
w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*

Dzień, kiedy sprzedali Kurdów

—
Pokazują nam starą gazetę albo ostatnie wydanie kroniki filmowej. Sportowcy biją rekordy. Kina wyświetlają złe filmy. Trwa wystawa pudli i turniej tańca. Już tylko jedna kartka, warstwa papieru, folia ochronna, oddziela tę krzątaninę od syren, połamanych szlabanów, podręczników i pytań w testach kompetencyjnych. Na razie ludzie robią zapasy cukru i nafty. Co innego można robić w przeddzień? Czekać na rynku w haftowanych togach? Układać się stopami w stronę wybuchu?

—
W DNIU, KIEDY SPRZEDALI KURDÓW, nikt z nas nie wiedział, że Kurdowie zostali sprzedani. Wszyscy mówili o wyborach. Znow było o transferze godności i niemrawej kampanii. Ekspertsi obsiewali swoje grządki, pracownicy nawozili i podlewali. Inwestowali w swoje „a nie mówiłem”, w swoje „przestrzegałem” i „wystarczyło mnie posłuchać”. Zapowiadały się obfite zbiory. Ale nawet eksperci nic jeszcze nie wiedzieli o Kurdach.

Tego dnia (gdy zdradzili Kurdów) zrobiła się ładna pogoda. U nas, nie w Kurdystanie. Ciągłe było ciepło jak na tę porę roku. Mieliśmy plany na wieczór. („Może tramwajem? Nie powinno padać. Albo trzeba coś wezwać przed siódmą. Naprawdę musimy tam iść? Strasznie mi się nie chce”). Nie musieliśmy, ale poszliśmy i rzeczywiście było dość okropnie. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Trochę o wyborach. Trochę o tym, że zabrakło wina. Nikt nie mówił o sprzedanych Kurdach, bo o Kurdach nikt jeszcze nie wiedział.

Dopiero następnego dnia gazety opublikowały mapki z nazwami miejscowości i zaznaczonym kierunkiem ofensywy. Potem nadeszły pierwsze zdjęcia. Czołgi na lawetach, amerykańscy żołnierze, ciężarówki Toyoty. Na razie żadnego dymu i wybuchów, tylko asfalt i kurz. Są wojny z kurzem i wojny z błotem. Ta będzie z kurzem.

Spółeczność międzynarodowa zaapelowała o pokojowe rozwiązanie. Analitycy przedstawili scenariusze rozwoju wypadków. (Ten tekst przeczytasz w cztery minuty).

Potem przez jakiś czas wszyscy byliśmy Kurdami. Myśleliśmy o Kurdach. Modliliśmy się za Kurdów. Zamieszczaliśmy zdjęcia Kurdów. Zapalaliśmy wirtualne świece dla Kurdów. Pisaliśmy: zdrada, hańba, wstyd.

Dwa dni po tym, jak sprzedano Kurdów, eksperci wyjaśnili, że jednak nie jesteśmy Kurdami. Nasza sytuacja jest nie-po-rów-ny-wal-na. Mamy własne państwo. Mamy gwarancje, traktaty i artykuły piąty. Chroni nas żelazny system sojuszy. Otacza nas szczerza sympatia amerykańskiego prezydenta (lubi nas bardziej niż Kurdów). Nikt nas nie sprzedaje. Nic nam nie grozi.

To nas, to nam, to nami. „To o nas”. To zawsze jest o nas. To wszystko jest o nas. Jeśli coś nie jest o nas, to jakby nie zostało powiedziane. Jakby się nie wydarzyło. („To nie będzie miało wpływu na wyniki wyborów” – zapewnili eksperci).

Trzy dni po tym, jak sprzedali Kurdów, wciąż jeszcze rozmawialiśmy o Kurdach. („Pamiętasz te zdjęcia dziewczyn w mundurach? Herbert coś pisał o Kurdach. Może to było o Czeczenach albo o Węgrach. I był jeszcze ten wiersz o narodach. Że coś, że na targowisku, już nie pamiętam, trzeba by poszukać. Dzisiaj jest pikietka. O której? Kurczę, nie mogę”).

Przy Grochowskiej był kiedyś kurdyjski bar. Ciemnowłosi faceci palili papierosy i oglądali niemiecką ligę piłkarską. Kiedyś zajrzałem do środka. I tak nie odróżniłbym Turków od Kurdów. Teraz w tym miejscu jest sklep ze stolarką okienną. („Powinniśmy tam podejść. Trzeba coś zrobić z tymi oknami przed zimą”).

Może nas też właśnie sprzedają.

—
CZTERY LATA TEMU PRZYŚNIŁA MI SIĘ MATKA. Mówiła, że jej wnuki muszą natychmiast wyjechać z tego kraju. – Taka jesteś mądra? To może jeszcze powiedz dokąd? – Ale nie dostałem odpowiedzi, bo się obudziłem.

Dokąd pojedą Kurdowie?

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
POLECA W LISTOPADZIE:

Azjatycki Festiwal Filmowy Pięć Smaków

Podczas trzynastej już edycji festiwalu będziemy mogli zobaczyć nieznaną w Polsce filmy z Azji Wschodniej, Południowo-Wschodniej i Południowej. O główną nagrodę będą rywalizować produkcje z Bhutanu, Chin, Hongkongu, Japonii, Korei Południowej, Malezji czy Wietnamu. Laureata Grand Prix Pięciu Smaków wybierają People's Jury, czyli jedenastu pasjonatów kina, wybranych na zasadzie konkursu. Pokazom towarzyszą spotkania z gośćmi, premiera książki *Made in Hong Kong. Kino czasu przemian* oraz masterclass z Fruit Chanem, legendą niezależnego kina z Hongkongu.

WIĘCEJ: www.piecsmakow.pl



Listopad 2019

7 9 13 15 21



II Międzynarodowy Festiwal Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej EUFONIE

EUFONIE to festiwal muzyczny odwołujący się do tradycji Europy Środkowo-Wschodniej. Podczas wydarzeń kulturalnych w ramach projektu będzie można doświadczyć muzyki różnych epok i stylów: od poważnej poprzez ambitną popularną po muzyczne eksperymenty. Jedno z ciekawszych wydarzeń to performance *Zakłęcia* opowiadający o twórczości kultury ludowej. Występują: kompozytorka muzyki elektronicznej Aleksandra Bilińska, wokalistka Weronika Grozdek-Kołacińska i choreograf Jacek Przybyłowicz. Na wielki finał Eufonii przygotowano *Polskie Requiem* Krzysztofa Pendereckiego.

WIĘCEJ: www.eufonie.pl

MIASTO 2050



Miasto 2050

Czy w roku 2050 przyjdzie nam funkcjonować w rzeczywistości rodem z postapokaliptycznych filmów *sciencefiction*? – takie pytanie stawiają organizatorzy projektu Miasto 2050, który rusza 7 listopada. Tego dnia Filip Springer, nawiązując do październikowego materiału ze swojego cyklu klimatycznego dla magazynu „Pismo”, opowie o klimacie miast przyszłości. Projekt Miasto 2050 to pokazy filmów dokumentalnych, warsztaty, a także wykłady i spotkania z naukowcami, działaczami społecznymi, ekologami, reporterami oraz twórcami internetowymi zaangażowanymi w działania na rzecz świadomego życia. Będą poruszane tematy wizji przyszłości, antropocenu i wymierania gatunków, dbania o naturę, zagospodarowania odpadów, świadomej konsumpcji czy odpowiedzialnej mody.

WIĘCEJ: ikm.gda.pl

Spektakl *Projekt Laramie*

Uznany przez „The New York Times” za jedną z najważniejszych sztuk ostatnich dekad *Projekt Laramie* przyjechał do Polski dzięki kooperacji Teatru Dramatycznego oraz Fundacji FETA. Stworzony przez Moisésa Kaufmana oraz Tectonic Theater Project – w Polsce w reżyserii Michaela Gielety – rekonstruuje historię homofobicznego zabójstwa Matthew Sheparda, chłopca z miasteczka Laramie w stanie Wyoming, pobitego, torturowanego i porzuconego na śmierć przez dwóch równolatków tylko dlatego, że był gejem. FETA zamierza jeździć ze spektaklem po całej Polsce, tak jak Moisés Kaufman jeździł z oryginalnym *Projektem Laramie* po Stanach. Spektakl można obejrzeć w warszawskim teatrze 9 i 10 listopada.

WIĘCEJ: teatrdramatyczny.pl/projekt-laramie



Tożsamość. 100 lat polskiej architektury

Sztuka, Władza, Społeczeństwo, Transfer i Przemiana to pięć tematów przewodnich pięciu wystaw w pięciu miastach Polski. Każda z nich przygląda się innemu fenomenowi architektonicznemu po 1918 roku. To opowieść o budynkach i przestrzeniach oraz twórcach, którzy wpłynęli na kształt miast. Organizatorzy zadają przy tym pytania o społeczną tożsamość i zmianę, ale także o rolę architektów i urbanistów w codziennym życiu. I zapraszają na wydarzenia towarzyszące: debaty, wykłady, spacer, warsztaty rodzinne oraz warsztaty dla szkół.

WIĘCEJ: niaiu.pl/tozsamosc-100-lat-polskiej-architektury

MIGRACJE

Kurdystan

zdjęcie i tekst KAROL GRYGORUK/RATS

—
Iracki Kurdystan to autonomiczny region na północy kraju. Przez ostatnie lata stał się domem dla ponad półtora miliona uchodźców z Syrii oraz uchodźców wewnętrznych, z Mosulu i innych regionów Iraku do niedawna objętych walkami z Państwem Islamskim.

Nowa wojna w Rożawie – inwazja Turcji wywołana wycofaniem amerykańskich wojsk z syryjskiego Kurdystanu – oznacza dramatyczny regres w procesie stabilizacji regionu. W ciągu zaledwie kilku dni ponad sto tysięcy ludzi zostało zmuszonych do ucieczki na południe, do wciąż ogarniętej wojną z rządowym reżimem Syrii oraz przepiętnych obozów w sąsiednim Iraku.

Polska Akcja Humanitarna pomaga w obozach w irackim Kurdystanie od 2016 roku i w odpowiedzi na kryzys w Syrii apeluje o pomoc dla ludzi, którzy zostali zmuszeni do ucieczki.

Nr konta 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772

(z dopiskiem „Ratunek dla Syrii”)





WSPÓŁPRACA:





OPOWIADANIE

Blask

tekst GRZEGORZ BOGDAŁ

rysunki TOMEK MAJEWSKI

Tatko wybił mi włosy z głowy. Tłukł w nią tak, że większość wypadła, zanim dorosłem. Zostało kilka kępek, poskręcanych i szorstkich jak ta poniżej brzucha. Chowam je pod turkusową czapkę z czarnym daszkiem i szerszeniem na przodzie. Jest przepecona, sprana i za ciasna, ale inaczej się nie pokazuję. Walił tatko tym, co się nawinęło: gazetą, chochlą, butelką, motyką, butem, kostką masła, wieszakiem, kapustą, arbuzem, książką, schabem z kością na co dzień, białą krzyżową od święta, paskiem, ręcznikiem, popielniczką, mrożonką, a jak nic nie miał w zasięgu, to gołą dłonią albo pięścią.

Dajcie ślepego, niech pomaca moją głowę, to powie, że dotykał Księżycy, bo tatko bębnił jak deszcz meteorytów. Wtedy, gdy czegoś nie rozumiałem, i gdy zrozumiałem aż za dobrze, żeby ukarać i żeby pochwalić, kiedy byłem na nogach i kiedy spałem, w czoło, potylicę albo czubek. Na poważnie się przykładał, a dla żartu trącał dwoma palcami. Tak hartowała się czaszka, a ja nauczyłem się z zamkniętymi oczami zgadywać, czym właśnie oberwałem. Przyzwyczaiłem się do tego jak do słabszego lewego oka i ukruszonego zęba. Wystarczy przymknąć powiekę albo wymacać językiem ostre krawędzie, aby się przekonać, że chociaż uszkodzone, są na swoim miejscu. I nie mam do tatki pretensji, bicie przecież nie bolało. Taki mój defekt, że wcale nie czuję bólu. Zawsze chodziłem przez to poharatany, w bliznach i siniakach.

Rąbnięty jestem zresztą sam z siebie, nie od bicia. Podobno urodziłem się 29 lutego, co czwartą klepkę mam na miejscu, co cztery lata o rok się starzeje, co czwarte gówno robię rzadkie, co czwartą noc nie śpię.

Odkąd zabrakło tatki, muszę sobie radzić sam.

Raz, dwa razy w tygodniu wracam do domu nad ranem z wypchanym plecakiem. Przebieram się, zanim wyjdę, tylko ochraniające mocują na miejscu, nie chcę po drodze zwracać na siebie uwagi. Na początku robiłem to w dzinsach i bluzie, roboczych butach z blachą, w kominiarce i szaliku. Teraz noszę czarne getry, na wierzchu krótkie spodnie gimnastyczne, lekkie buty, obcisły golf. Przed akcją zakładam w krzakach, na podwórku albo w zaułku cienkie, wytrzymałe rękawiczki i gogle, twarz zasłaniam maską przeciwpylową bez uszchelek i filtrów,

kask rowerowy z zamontowaną czołówką w metalowej osłonie wyścielam w środku folią bąbelkową i wciskam na głowę. Przypinam naramienniki na rzepy, sprawdzam, czy plecak dobrze leży, i ustawiam się naprzeciwko witryny sklepu, który wybrałem, najdalej, jak to możliwe, dla lepszego rozbiegu, bez przeszkód w linii prostej, włączam odliczanie w zegarku, półtorej minuty, i jeśli nikogo w pobliżu nie widzę ani nie słyszę, a wiatr nie hula, startuję. Rozpędzam się tak, że światło z czołówki przygasa, bo ledwo za mną nadąza, i kiedy jestem blisko celu, na moment chowam głowę w ramionach, po czym wyrzucam ją do przodu, skacząc pod ostrym kątem, z ramionami wyprężonymi do tyłu, i rozbijam szybę w drobny mak.

Wpadam do środka, łapię równowagę albo ląduję z przewrotną i pakuję do plecaka towar, zwłaszcza jedzenie. Zgarniam co najbliżej, jak leci, nie ma czasu na wybieranie. Okruchy rozbitej szyby chrzęszczą pod podszewkami jak cukier. Zostawiam miejsce na kask i resztę, na dźwięk alarmu w zegarku zwijam się, ten sklepowy mnie nie obchodzi, wracam bocznymi ulicami, ocieram się o mury, nie zaglądam w okna, odłamki wbite w nogi, ręce i gdzie tam jeszcze wyciągam w domu. To ja tłukę, to mnie nie boli.

Po każdym skoku śpię jak dziecko.

Za pierwszym razem nabrałem prawie samych puszek kukurydzy. Tydzień fajdałem nieprzetrawionymi, żółtymi ziarenkami, dałoby się z nich złożyć sporą kolbę. Na początku obiecywałem sobie, że będę brał to, co akurat jest mi potrzebne, ale w świetle latarki i w pośpiechu tak się nie da. W końcu nauczyłem się zgarniać różne rzeczy. Rano wysypuję fanty na stół. Odkładam to, czego nie będę jadł ani pił, a jak się ueziera cały karton, zanoszę w nocy do okna życia. Półprzymenne zakonnice przeklinają drania, który nie daje im się wyspać.

Tego dnia, gdy zabrakło tatki, pierwszy raz od wieków nie dostałem w czerep. Wieczorem potykałem się o własne stopy. Ale to nie był koniec nieszczęść, bo wiedziałem, że jeszcze przyjdą wyrzucić mnie z domu i zabrać ziemię.

Ziemi nie ruszę, wszędzie jej pełno, choćbym nie wiem ile z wierzchu zdarł, zawsze coś pod spodem zostanie, najpierw gleba, potem podglebie, można ryc i ryc, do usranej śmierci i z powrotem, aż się trafi na ska-

łą macierzystą, ale niżej jest jeszcze skorupa, a w niej tlen, krzem i glina, dalej granit, ziarna skalne i blasty, a to za ledwie górna warstwa na lepkiej podściółce, na grubym płaszczu, który otacza fałszywe płynne jądro, dopiero w jego głębi, gdyby to wszystko wygarnąć, mieści się jądro prawdziwe, twarde, gęsta kula żelaza, jak ukryty w zamkowej sakiewce, pod podwójnym dnem kasetki, pocisk do zabytkowego pistoletu trzymany na wypadek, gdyby ktoś chciał go sobie wpakować w łeb.

No więc ziemi nie biorę, skąd miałbym wiedzieć, kiedy się zatrzymać, zdechłbym z wyczerpania, wyrzucając wiadra złota, wapnia i magnezu, a choćby starczyło mi sił i czasu, zanim przyjdą ją odebrać, ugotowałbym się od bijącego z głębin gorąca, zmiażdżyłoby mnie ciśnienie, uduśiła siarka, a niechbym nawet przekopał się do samego jądra i wciąż stał na nogach, miał ręce i oczy, skąd wiedziałbym, gdzie jest jego środek, kopałbym dalej, aż znów przez płynne warstwy, sprasowane skały i złoża minerałów dostałbym się na górę, do gleby, i wystawił głowę z ziemi jak kret w czymś ogródku, a wtedy oberwałbym w nią łopatą, butem czy gaśnicą i wykorkował po drugiej stronie przekopanej na wyłot planety.

Dom to co innego, da się go ogarnąć spojrzeniem, wiadomo, gdzie się zaczyna i gdzie kończy, nie trzeba haratać wierzchu, żeby się dostać do środka, dlatego go nie oddam, tylko wezmę ze sobą, krok za krokiem, oddechem, uderzeniem. Tup, nosem zaczerpnij, tup, ustami wypuść, hup, hup.

Bo inaczej niż ja, dom się tatce udał. To solidny, długi na dziewięć metrów barakowóz. Tatko kupił go od dyrektora cyrku niedługo przed tym, jak się urodziłem. Wcześniej mieszkał w nim stary klaun, który zaczął się pod koniec zimy, kiedy napalił kostiumem i butami w nieszczelnej, blaszanej kozie. Wtedy to był pstrokaty, zapuszczony barak na krzywych kołach, ale tatko bez niczyjej pomocy odpicował go i pomalował na brązowo, dorobił schody, drugie drzwi z tyłu i świetliki, a gdy znalazł wolną ziemię, na której osiadł, dobudował drewnianą werandę z zadaszeniem i rozsuwanymi szybami z pleksi, tak że można było na niej bumełować w słońcu i w deszczu. Z poprzedniego wyposażenia tatko zostawił jedynie leżący pod szafką czerwony nos z gąbki na gum-

ce, zawiesił go na gwoździu przy wejściu. Wstawił prysznic i lodówkę, podłączył barak do wody, prąd pociągnął na lewo ze słupa. Dzięki temu bez ograniczeń chłodziliśmy się wiatrakami w lecie, a w zimie grzaliśmy bez przerwy piecami, więc wokół barakowozu utrzymywała się strefa wiecznej zieleni.

Widziałem takie zdjęcie. Młody, wielki tatko, piękny i włochaty jak zwierz, siedzi na żelaznych schodach barakowozu, trzyma mnie na rękach, niewielkie zawiniątko z ledwo widoczną twarzą. Może ustawił w aparacie samowyzwalacz, a może pstryknęła je matka, tego nie wiem. Nigdy o niej nie chciał rozmawiać, nie zdradził jej imienia, kim była, ani czy żyje, jakby wcale mnie nie urodziła. Można by pomyśleć, że wypadłem z obolałej głowy tatki po tym, jak zrozpaczony walnął w nią pięścią, a wtedy odszedł mu płyn mózgowo-rdzeniowy i odskoczył dekiel. Zawsze tam byłem, tylko o tym nie wiedziałem.

Chyba dlatego nie lubił, gdy się oddalałem. Rzadko puszczał mnie samego poza dom i polaną otoczoną drzewami i krzewami. Jeśli gdzieś szedłem, to zwykle z nim. Niemal nigdy do centrum, chociaż to blisko.

– Jesteśmy w mieście, ale miasto nie jest z nami – mówił tatko. Kłamał, że tutaj mamy wszystko, czego potrzebujemy. Owoców ledwo wystarczało na kompot, a warzywnik był szeroki na dwa susy, z międzylądowaniem w pomidorach.

O świecie wiedziałem tyle, co z opowieści tatki i przynoszonych przez niego książek. Niektóre miały pieczątki biblioteczne. Wyrzywał z nich okładki i pierwsze strony, żebym się nie dał zwieść pozorom, dlatego nie znam żadnych tytułów ani autorów tego, co czytałem. Tatko sam oprawiał książki. Na cienkie wystarczały pudełka po ryżu i kaszy, na grubsze zbierał kartony po owocach wyrzucane na tyły sklepów. Grzbiety i brzegi okładek wzmacniał czarną taśmą izolacyjną.

Wcześniej rano wstawał do pracy, był starszym popychadłem w ogrodzie botanicznym. Miał szorstkie, twarde dłonie i ciemne obwódki wokół paznokci, a kark czarny od słońca. Tam robił, co mu kazali, tutaj to, co chciał. Znosił do swojego ogrodu ukradzione albo zdobyte po znajomości nasiona i sadzonki, przycinał i krzyżował rośliny, upychał mi w łepetynie ich nazwy i właściwości. Co z tego, skoro przy innej okazji je wybijał, tak że słowa sypały się ze mnie jak ziarna.

Miał dobrą rękę, przyjmowały się tu okazy z całego świata, jakby nie tylko dbał o odpowiednie podłoże, ale zapewniał też idealny mikroklimat. Mdlilo mnie od pomieszania kolorów, kształtów i zapachów z lasów deszczowych, tundry, sawanny, gór i bagien. Nikt tego nie oglądał, tatko nie dopuszczał tu przecież obcych, nie sprzedawał kwiatów ani ziół, co z tej ziemi wyrosło, na niej zostawało. Poza grzebaniem w ogrodzie prawie nic innego nie robił, jakby dostał kręcka albo się przed nim bronił. To ja prałem, sprzątałem i gotowałem. Przede wszystkim jednak, zwłaszcza pod nieobecność tatki i na jego polecenie, czuwałem, czy nikt się nie zbliża. Bał się, a ja razem z nim, że pewnego dnia ktoś przyjdzie odebrać nam ten grajdołek, pracował więc ciężko nad zaporą z pędów, konarów i badyli, nad zielną dziurą, do której i z której żadne zdarzenia nie przenikały przez chaszczę.

Rok z rokiem ogród podchodził pod dom, krąg się zacieśniał, a ścieżki łączące nas z miastem rozwidlały się, plotły i zwoziły. Obcy łatwo mógł się zgubić albo nabrać, że za ścianą zielska nic nie ma, po co więc się przez nią przedzierać, niszczyć ubranie, narażać na zadrapania i ukąszenia włochatych pajaków, które tatko wypuścił na postrach skurwysynom i frajerom.

Gmatwa mi się w mózgownicy, trudno myśleć o tych sprawach po kolei, było, jest, będzie. Tatki już nie ma, po ziemię i dom jeszcze nie przyszli, a ja grubo po północy zasuwam ulicą, gdzie robotnicy w pomarańczowych kombinezonach naprawiają torowisko. Trzymają się w kręgu zimnego światła halogenów zasilanych stukoczącym agregatem. Jeden kłęczy za niskim parawanem, spod szlifierki lecą iskry. Drugi wyciągnął z samochodu butlę i palnik, chowa twarz za maską z dymioną szybą i puszcza na próbę błękitny płomień. Rozłożyli się na mojej trasie, naprzeciwko jest sklep, do którego zamierzałem skoczyć. Wstydzę się zapytać, kiedy skończą, lecę dalej. Trzeci siedzi na kawałku wygiętej szyny, pieprzy remont i ślepi na mnie.

Na każdą chorobę albo bóle, cokolwiek by to było, tatko miał opatentowany sposób. Stawał goły w przygotowanym wcześniej dole w ziemi, a ja zakopywałem go aż po szyję. Tak spędzał trzy dni. Nic w tym czasie nie jadł, ale złapał jak eukaliptus. Kładłem mu

w zasięgu ust garnek z wodą i plastikową słomką. Po trzech dniach wychodził odchudzony, zdrowy i śmierdzący. Dół po sobie, za każdym razem w innym miejscu, zalewał szarą breją i oznaczał tabliczką na patyku. Teren nie nadawał się pod uprawy przez pół roku. Zerkał co jakiś czas na datę zapisaną na tabliczce jak na nagrobek dalekiego krewnego. Śmiał się z wiatru, w razie ulewy kazał przykrywać sobie głowę przezroczystą kopułą z otworami wywierconymi po bokach. Ostatni człowiek na Księżycu, ludzkość w wielkim kroczu. Ponieważ był unieruchomiony, wołał mnie i rozkazywał, kiedy i jak mam się uderzyć w łeb, a ja to robiłem. W zimie, gdy trudniej było wykopać dół, a mróz wrzynał się między zaciśnięte pośladki, tatko wchodził do wypełnionej ziemią beczki na werandzie. Za to ja prawie wcale nie chorowałem, widocznie odziedziczyłem zdrowie po matce. Jeśli coś mi się przyplątało, pokasywałem w poduszkę albo rękaw, katar połykałem.

W kwietniu tatko zaniemógł na gardło. Drapało go zawsze jesienią i na początku wiosny. Kaszłał i odpluwał flegmę, mieszanki ziół i lekarstwa według własnych receptur pomogły po tygodniu, ale ciągle był osłabiony. Mijały kolejne, a on się ślaniał, zaniedbywał pracę w ogrodzie, więc poszedł do ziemi. Nie wytrzymał, ile trzeba.

– Duszno mi – skarżył się. I rano drugiego dnia kazał się wyciągnąć. Zwlekałem, bo nigdy nie przerywał kuracji, mówił, że wtedy jest stracona. Wytarł się zanurzonym w lodowatej wodzie ręcznikiem i położył do łóżka. Z trudem zasypiał, pocił się i rzucał we śnie. Rzadko czegoś żądał, jadł i pił tyle co koliber. Zabraniał wzywać lekarza. W łepetynę trącał mnie niedbale, byłem o to zły. Wreszcie osłabł tak bardzo, że musiałem kłękać, chwycić jego dłoń i samemu się nią bić. Ale to już nie to samo.

Raz złapał mnie za kark i przyciągnął, zetknęliśmy się czołami, zamknąłem oczy, bo źle patrzeć z tak bliska.

A pewnego ranka wstałem i tatko był martwy.

Cały dzień wariowałem, jak sobie poradzę, kto mnie nakarmi, kto dzieli. Tatko na pewno by wiedział, co zrobić z własnymi zwłokami, uwinąłby się z nimi przed obiadem, niestety nie zostawił mi żadnych instrukcji. Awansowałem na pełnoprawną

sierotę bez szkoły i dochodów. Na szczęście nie byłem sam. O tym przypomniałem sobie jednak dopiero wieczorem, kiedy bezmyślnie stukąłem czołem w pień palmy miodowej.

Włosy to nic. Wypadły, to wypadły. Czasami tatko przyłożył mi tak solidnie, że mnie samego wybił z mojej głowy. Stawałem wtedy obok, patrzyłem na siebie i myślałem o sobie: „A więc to on, Krystek”. Sterczał jak nieodpalona świeczka w torcie i zanim mi się udało zwrócić na siebie uwagę, dostawał znowu lub głowa mu odskakiwała i uderzał nią w ścianę, albo coś mnie rozproszyło, złąkłem się i nagle, chcąc nie chcąc, znów byłem jedną osobą, znowu mnie nie było.

Odwrociłem się, rozpędziłem i walnąłem nieuzbrojonym łbem w zewnętrzną ścianę barakowozu. Odbiłem się i upadłem na dupę, wziąłem dłuższy rozbieg i grzmotnąłem drugi raz i trzeci, potknąłem się po drodze, do trzech razy sztuka, ale pierwszy był na próbę, nie liczył się, dlatego spróbowałem po raz czwarty, aż trzasnęły deski, przewróciłem się na plecy i stałem nad sobą, nad tobą, do ciebie rękę wyciągałem, Krystku, niedojdo, rdzeniu i powłoko, Bóg jeden wie, kim jesteś, chuj z tym, kto to. Zagadywałem, ale nie odpowiadał. Do ciebie mówię, tak, właśnie do siebie, Krystku, masz wprawę w szykowaniu głębokich dołów. Ten musi być jedynie dłuższy i szerszy, a tatko nie ma już potrzeby z niego wychodzić po trzech dniach, co czwarty potwierdzi.

Kopałem ja i kopał Krystek. Z początku każdy używał jedynie połowy sił, więcej sobie przeskadzaliśmy i wchodziliśmy w drogę, niż pomagaliśmy, ale wreszcie nabraliśmy wprawę. Zawinęliśmy tatkę w pościel, obwiązaliśmy z obu końców sznurkiem i ściągaliśmy z łóżka. Wyśliznął się mnie albo Krystkowi, głowa stuknęła o schodek, straciłem równowagę, skręciłem kostkę. Muchy objęły się o szybę. Zaciągnąłem tatkę, schylając się i cofając drobnymi krokami, na brzeg dziury i wepchnąłem go do niej. Kiedy skończyłem zasypywać, było już ciemno. Zapomniałem, po co wyciągnąłem dwie łopaty. Zgłodniałem jak pies.

Siedziałem na progu barakowozu, w świetle padającym przez otwarte drzwi. Żułem paski suszonej, słodkawej wołowiny, popijałem ją zimną herbatą z fusami. Byłem na świecie sam i miałem brudne ręce.

Po dwóch tygodniach skończyły mi się leki. Nie znałem ich nazwy, tatko przesyłował pigułki z oryginalnego opakowania do pojemnika po witaminach. Codziennie przed śniadaniem dostawałem jedną. Wkrótce poczułem efekty odstawienia. Za każdym razem, gdy poruszyłem oczami, tuż za nimi kopał mnie prąd, jakbym miał tam zamontowany pstrykacz z zapalniczki, wyzwalający elektryczną iskrę. Mogłem patrzeć tylko przed siebie, nawet skręty szyi były ryzykowne, trzymałem się więc sztywno. Na szczęście zbiegło się to z falą upałów, kiedy i tak się oszczędzałem. Unikałem werandy, śmierdziało tam rozgrzanym plastikiem i paloną gumą. W skwarne popołudnia leżałem rozebrany do majtek na łóżku polowym przykrytym śliskim śpiworem, pod zawieszonymi u okien i sufitu mokrymi prześcieradłami. Krople wody spadały z nich raz na podłogę, raz na mnie, wyrwijając z drzemki. Cztery wiatraki rzeźbiły i obracały się z wysiłkiem jak pechowiec, któremu wypadł dysk. Biała zasłonka prysznicowa, oddzielająca moją część barakowozu od części tatki, łopotała przy każdym podmuchu.

Podnosiłem się i wpadałem w krzyżowy wiatr z wentylatorów. Z wilgotnego półmroku wychodziłem prosto w blask. Spryskiwałem rozgrzany blaszany dach wodą z węża, parowała z sykiem i tworzyła tęczę przypominającą niekompletny stary hologram. Zraszałem też ściany, ze strachu, że się zapalą od spiekoty. Stalowszare niebo było gładkie i sztywne jak wyprasowana przez maniaka koszula, ze zwisającym na nitce żółtym guzikiem. Pot zalewał mi oczy, byłem gotów spłonąć za wiarę, że Ziemia jest płaska.

Nigdzie nie znalazłem forsy tatki, może trzymał ją przy sobie. Wyczyściłem szafki z makaronów, kasz i grochu, splądrowałem ogród i dojadałem resztki zapasów. Z pustym żołądkiem byłem na przemian roztrzęsiony albo wściekły. Pogoda nagle się załamała, burze i grad trzymały mnie w zamknięciu. Waliłem głową w meble i ściany, a barakowóz trząsał się od uderzeń jak rozklekotana, kosmiczna kapsuła ratunkowa przy wchodzeniu w atmosferę. Byłem przygotowany na to, że zaraz puszcza nity i zostaną wyszany w próżnię. Wtedy nazwałem tę budę Apollo. I już była nas dwójka. Martwa materia nieorganiczna i materia żywa.

Festiwal Muzyczny

Radio Azja

4 - 8 grudnia 2019



Organizator: **PIĘĆ SMARÓW** Radio Azja Festiwal

Partnerzy: **TR** **999** **Radio / Złoty**

Patroni medialni: **KULTURA** **dwójka** **POLITYKA**

WISCIŃSKI **LZ** **AKTYWIST** **classanda**

A gdzie dwóch czy dwoje się pomieści, tam i trzeci się wciśnie. Na ostatni cel wziąłem wiszące lustro, bo wstręt mam do siebie obcego. Z gębą pokiereszowaną, jakbym się golił brzytwą podczas ataku padaczki, runąłem wykończony, wyszedłem z Krystka i ciągle rozdrażniony sprzątnąłem bajzel. To o mnie moja o tobie mowa. Powyciągałem odłamki szkła z twojej twarzy, koszulką starłem krew i zmieniłem gacie. W kroku i na nogawkach miałeś niesymetryczną plamę moczu, jak spartaczony test Rorschacha. Niczego z niej o tobie nie wyczytałem, o sobie połowę z tego. Na uspokojenie nuciłem byle co, zmyślane na poczekaniu, i sam przy tej śpiewce zasnąłem.

Zostaw drewno, jeśli ci łeb miły, rozbijaj szkło i łap, co po drugiej stronie, i żryj. Za nieznaną mamę, za martwego tatkę, na krzywy, krzywy ryj.

Następnej nocy pierwszy raz poszedłem na grandę do miasta. Odtąd regularnie prowadziłem handel wymienny, brałem żarcie, a pozbywałem się skrupułów. Czułem się tak, jakby ktoś mi podrzucił ten pomysł. Złapałem w locie, ale miotacz zniknął w obłoku rdzawego piachu wzbitego półobrotem, zanim zdążyłem dodać cyfry na jego bluzie.

Zapuszczałem się dalej i dalej w głąb ulicy. Trudno ją ominąć, schodząc z pagórka, gdzie stoi Apollo. Jest długa, szeroka, dobra do rozbiegu, bez drzew, z zakazami parkowania co kawałek. Miałem nadzieję, że wystarczy mi na niej sklepów, dopóki czegoś nie wymyślę. Byłem jak zwierzę, które ciągnie zawsze do najbliższego wodopoju, dopóki coś go nie spłoszy lub nie wbije kłów w wystawiony na atak zad. Albo dopóki nie wyschnie źródło. Remont torowiska przeciągał się i rozrastał. Najpierw naprawy trwały w nocy, na ograniczonym odcinku, a uszkodzone szyny były reperowane przed pierwszymi tramwajami. Stopniowo przybywało pracowników, do awarii dochodziło w różnych, oddalonych od siebie miejscach. Z jednej strony oznaczało to więcej świadków, z drugiej hałas wywołany robotami zagłuszał moje sprawy. Parę razy zostałem przyłapany, nigdy złapany. Na taką okazję trzymałem przy pasku świecę dymną. Odpalałem ją, gdy ktoś mnie zauważył czy wydarł się, jakby chodziło o zbawienie jego parszywej duszy, a kiedy zasłona się rozwiewała, byłem już daleko od wycia i świateł radiowozów.

Wreszcie wyłączyli torowisko z ruchu, na chodnikach zalegały kawałki szyn i bryły asfaltu, gdzieś tam stały koparki. W asfalcie ziały dziury, zabezpieczone prowizorycznymi ogrodzeniami z drucianej siatki. Niewiele pozostało miejsc, w których mogłem ruszyć z kopyta. A nawet jeśli, po drugiej stronie rzadko było coś, w co warto wycelować własną głową.

Na koniec obrobiłem zarośniętą pleśnią lodówkę na zapleczu biura podróży i sklep z odżywkami dla kulturystów. Potem wodopój przemieniłem w koryto, wydeptywałem w nim ślady, szukając żywnych odnóg. Nędzne przecznice z popękkanymi chodnikami prowadziły mnie do równoległych ulic, słabiej zaopatrzonych niż pierwsza, ale dało się z nich wyżyc. Nabierałem wprawy w skokach i ulepszałem strój ochronny, aby zmniejszyć ryzyko, że się poharatam. Nie podobało mi się tylko, że odległość między mną a domem wzrasta przy każdej wyprawie. Czułem, że naciągam cienką linkę, która strzeli ze świstem i chłśnie po oczach, gdy przesadzę.

A tymczasem już się grzały silniki samolotów na pasach startowych i młodzi mężczyźni sprawdzali uprząże. Z ziemi tatki przepędził mnie w końcu desant.

Piechota, która za nim nadciągnęła, miała ułatwione zadanie, bo zaniedbałem ogród i w umocnieniach powstały luki. Do tego potrzebna była wiedza i ręka tatki. To, co wy-

daowało się chaotyczną płataniną, było przez niego zaplanowane i utrzymywane. Oko czarodzieja trzyma zamek w kupie. Odkąd go zabrakło, krzewy usychały, drzewa traciły liście, żarło je robactwo i choroby, i nie dawały już pełnej osłony. Przez liczne prześwity dało się dostrzec fragmenty zakładu uzdatniania wody, na górę docierało też więcej dźwięków z zewnątrz, nasilił się wiatr. Próbowalem zahamować rozpad, pomagając sobie wielką encyklopedią roślin, z której korzystał tatko, ale nie umiałem powiązać fotografii i rysunków z tym, co mnie otaczało.

Biedziłem się także z odprowadzaniem ścieków. Dla uniknięcia syfu załatwiałem się daleko od baraku, jednak czasami rezygnowałem i korzystałem z umywalki. To przez to, że skończyły się składniki, z których tatko robił mieszanki do zasypywania dołów na odchody, dzięki czemu nie cuchnęły i nie zbierały się nad nimi muchy. Nie znalazłem zresztą przepisu. Po zapehieniu wyznaczał kolejne miejsce na toaletę. Kładł deskę z dziurą i wbijał w ziemię paliki, żeby było się czego chwycić. Na zimne miesiące stawał dodatkowo ciasną kabinę z desek. Wiosną rozbierał ją i urządzał pierwsze w sezonie ognisko. Krótkie i małe, byle nie zwrócić uwagi obcych.

W takim stanie były okolice Apolla i ja sam, kiedy na czystym niebie pojawiły się samoloty. Ciężkie, buczące maszyny, z których



wysypały się ciemne grudki. Wybuchwały jedna za drugą i opadały powoli, w niknącym hałasie, teraz już jako podłużne, matowe odłamki uczepione kolorowych czasz. Chrupało mi w karku, kiedy kręciłem szyją, śledząc bujających w powietrzu skoczków. Nagle zobaczyłem, że jeden z nich pędzi w dół po spirali, z częściowo otwartym spadochronem, jak zmiętym w garści papierkiem po cukierku. Zostawił kolegów wysoko w górze, zaplątany w liny leciał prosto w moją stronę.

Pewnie jeszcze oddychał, ale finał już go wyprzedził. Tak było też ze mną. Z daszkiem z dłoni przy czole gapiłem się na żywego trupa drążącego tunel w powietrzu, myślałem jednak o tym, co będzie dalej.

Ile potrwa, zanim obcy znajdą ścieżkę, ominą ustawiane latami przez tatkę pułapki, psie i kocie doły, worki z kwasem, gniazda szerszeni, owadożerne kwiaty, cuchnące bulwy pękające pod butem, aż się przedrą przez krzewy, chwasty i pnącza, wyjdą na polanę, wypłaczą z cierni i lian, ukrytych w trawie żyłek i drutów, zajrzą przez okna, wejdą po schodach, zapukają do drzwi?

Był coraz większy i szybszy, przestałem zadzierać głowę, już nie wirował, sunął równo w pionie jak kreska prowadzona od linii. Z impetem spadł na jedno z drzew tuż przy granicy ogrodu i zniknął.

Trzasnęły gałęzie i cisza. Reszta spadochroniarzy kołowała niczym ptactwo zbierające się na żer, schodzili płynnie w dół w poszukiwaniu najbliższego miejsca do lądowania.

Przed wodą uciekaj na dach, przed wrogiem pod ziemię. Barak stał na wyrównanym przez tatkę wierzchołku wzgórze, powódź nigdy nam nie groziła, chyba że podmyłaby zbocza i zjechałibyśmy z betami wprost do zatopionego miasta. Nasza naziemna kryjówka miała za to drugie dno, na wypadek gdyby ktoś się zapuścił zbyt daleko i odkrył już barakowóz, ale nas jeszcze nie. Zatrzasnąłem wewnętrzne okiennice Apolla, sprawdziłem zamki w drzwiach, zasunąłem pancerne sztaby i zszedłem do schronu. Właz był ukryty w kuchni, w głębi piekarnika. Trzeba było się tam wcisnąć tyłem, tak by móc zamknąć za sobą wejście z przyciemnianą szybą, a potem, klęcząc już na dole, wsunąć w rowki blachę i ruszt, dla niepoznaki utyłane przypalonym tłuszczem.

Tatko przytargał pewnej nocy luksusową wannę z hydromasażem, którą wyciągnął z łazienki w opuszczonej willi, zrobił wykop pod barakowozem i po przeróbkach ją zainstalował. W środku mieściły się obok siebie dwie osoby, ale było tak nisko, że dało się tylko leżeć, siedzieć zgarbionym z brodą przy kolanach albo stać na czworaka. Ułożyłem się na brzuchu i włączyłem lampkę. Zielone, matowe światło ledwo się ćmiło, od mocniejszego byłoby zbyt gorąco. Przez kratę przedostawał się świeży podmuch, pachniało ziemią i pokrzywami. Tatko dbał, by wlot powietrza nie zatkał się na zewnątrz, w razie czego mieliśmy awaryjny. Akrylowe ściany pełne były otworów, wypustek i kłapek, a system czterech zakamuflowanych peryskopów domowej roboty pozwalał obserwować otoczenie Apolla. Coś jednak tatko schrzanił, montując soczewki i lusterka, bo obraz był odwrócony do góry nogami.

W miedzianym lejku na sprężynującej lince, mającym służyć do nasłuchów, szumiało jak w muszli. To nic, liczyło się przetrwanie, wygody są dla urodzonych pod dobrą gwiazdą, a moim narodzinom towarzyszyła zapierdalająca przez pustkę kometa i epidemia kiły w Lourdes. W tym układzie słońce nie dla mnie, a droga bez mleka i miodu. Miejsce i tak było spalone, tatko wyznawał zasadę, że kto raz postawi stopę na ziemi, którą akurat zajmowaliśmy, bo była pusta, ten wkrótce ją zadcpe, a następnie nam odbierze. Nie pamiętam tego, musiałem być jeszcze mały, ale opowiadał, że zawsze, gdy zostaliśmy odkryci, zwiewaliśmy z barakiem przyczepionym do terenówki, podobno to był składak z silnikiem od mitsubishi albo toyoty.

– Ten barak to wszystko, co mamy, kiedyś będzie twój – mówił. Tutaj najdłużej mieliśmy spokój, przysiągłbym, że zawsze tu żyliśmy, a ten klaun to tatko, ale po co by kłamał. Chyba że znalazł mnie na śmietniku, porwał prawdziwym rodzicom, wypadłem sroce spod ogona. Kto wie, niech pruje się teraz albo zamknie ryj na zawsze.

Żałowałem, że to nie fałszywy alarm, ćwiczenia zorganizowane przez tatkę, który zaraz otworzy piekarnik, następnie właz, wyciągnie rękę, pomoże wyjść, a po rodzaju uderzenia w głowę zorientują się, czy zdałem, czy oblałem.

Najchętniej od razu bym stąd uciekł, ale nigdy nie robiłem tego sam, nie łudziłem się też, że gąszcz powstrzyma ratowników na tyle długo, by skoczek zaczął gnąć i spadł z drzewa jak przejrzały owoc, zanim ktoś go z niego zerwie, a mnie do tego czasu udałoby się prysnąć bez śladu. Poza tym Apolla trzymała w miejscu weranda, podpory, kable, przewody i rury, blokada z zarosli, a zwłaszcza brak pojazdu lub zwierzęcia, które by załatwiły sprawę. Terenówka zdechła i rozpadła się, zanim tu osiedliśmy, barak wytaszczyły na górkę wynajęte przez tatkę spracowane konie. Jeden upadł, złamał nogę i został dobity. Tatko zapłacił za niego, oprowił, podzielił i zasolił mięso. Ze skóry uszył torbę na narzędzia. Biała czaszka miesiącami leżała na polanie, przez oczodoły ganiały się wiewiórki. W końcu zarosła i potykaliśmy się o nią, więc rozbił ją na kawałki.

Pierwsi ludzie wyszli spomiędzy drzew, głowami w dół, brudni i potargani, ale bez ciężkich ran czy poparzeń, bez kasków i maczet. Szybciej niż się spodziewałem, tatko byłby rozczarowany, tyle roboty na nic, czapka niewidka zerwana jednym ruchem. Spoglądali w niebo na dole, skąd dochodził furkot wirników helikoptera. Zanikał i zbliżał się, jakby ktoś manipulował pokrętłami odtwarzacza. Umundurowany mężczyzna podszedł do Apolla i straciłem go z oczu. Zapukał, może chwycił klamkę, próbował zajrzeć przez okna, wkrótce znów był w kadrze. Przybyły kolejne osoby, położyły na trawie nosze ze skoczkiem, zamknęły krąg wokół niego. Ktoś inny wbiegł na polanę z pękatą torbą. Trudno było się przyzwyczaić, że nie spadają wszyscy razem, tylko trzymają się ziemi jak muchy sufitu.

Opuszczałem łepetynę, zbyt długo to trwało, ile można patrzeć. Rozstąpili się, spadochroniarz był przykryty złotą folią i zabezpieczony czarnymi pasami. Widocznie poniewierał się w nim strzęp pulsu, za który go capnęli. Helikopter zawisł w pobliżu, nie mógłby tu wylądować, za mało miejsca. Z dołu wolno pięła się rozkołysana lina z uczepionym do niej facetem w pomarańczowym, błyszczącym stroju – nagle puścił się i został przyssany do trawy. Znów nosze zniknęły, szczelnie otoczone, a kiedy się pojawiły z powrotem, były przypięte z czterech stron. Wkrótce skoczek odbił od ziemi, drugi raz tego dnia był w powietrzu, oddalał się, na

przekręconym liczniku stuknęło mu w pizdu i trochę mil podniebnej żeglugi, a ratownicy i cała reszta odchylił się i patrzyli, jak zstępuje coraz niżej, w wąski błękit u samej podstawy. Potem wrócili między drzewa.

Na wszelki wypadek zostałem jeszcze trochę w kryjówce, niespodziewanie zmorzył mnie sen. Twardo się śpi pod ziemią. Tam góra, gdzie dół. Otworzyłem ślepią wieczorem, wylazłem na powierzchnię. Było ciepło i pusto, nikt się już nie kręcił w okolicy. Rozprostowałem gnaty, włączyłem światła w środku i nad drzwiami Apolla. Cmy trzepotały skrzydłami i objęły się o metalową osłonę lampy, w trawach cykały świerszcze, kuna przemknęła po dachu barakowozu. Gładziłem głowę i im dłużej to trwało, tym mniej nierówności wyczuwałem pod dłonią, aż wreszcie utoczyłem idealną kulę. Tu jest moje miejsce. Tu jest mój ciasny, ale własny schron. Tu jest moje miejsce, tu jest spierdalam stąd.

Rano następnego dnia zacząłem rozwalać werandę. Siekiera, młot i łomot. Porąbane deski i pleksi rzucałem na osobne sterty. W przerwach rozwieszałem w gąszczu dodatkowe dzwonki z puszek. Mogli nadejść w każdej chwili. Najpierw puszcza policjantów na rozpoznanie terenu i wyszarpanie informacji. Gdzie psy przetrą szlak, tam już runie nawała. Urzędnicy, właściciele i czciciele, notariusze, radni, łachudry, kochankowie dnia siódmego, trunkowcy, wariatki i mnisi, szczury wcielone, karaluchy, dzikie węże.

Niech się żrą, kaleczą języki, niech zęby kruszą na tej ziemi, łamią szczęki, bełkoczą, ja już daleko będę, daleko stąd. Grunt to ruch. Kto sterczy, ten gruchot.

Rozłożyłem folię na łóżku, żeby go nie ubrudzić, kiedy się położę. Po harówce od świtu do zmierzchu nie chciało mi się myć. W trzy dni pozbyłem się werandy, resztki przykryłem plandeką. Nikt w tym czasie nie przyszedł, a cały czas byłem na miejscu, nie licząc nocy, kiedy wychodziłem uzupełnić zapasy. Jadłem teraz za dwóch. Wmuszałem w siebie koktajle białkowe i węglowodanowe z myślą o ostatniej części planu ucieczki, ale wkrótce miałem dość ich słodczy i ograniczyłem się do jednego dziennie. Inaczej z brzucha robił mi się gazowy balon, bekałem waniliną i mlekiem w proszku, jakbym się przyszał do cycka tekturowej krowy.

Ulicę, którą znałem, rozpruli wzdłuż i wszerz. Z wykopów wystawały różnokolorowe kable i rury. Blaszane płoty zarosły plakatami, chodniki były zerwane. Po bokach wznosiły się kopce ziemi i nieodpakowane palety nowego materiału. Ciężki sprzęt stał na ulicy, na zrytych trawnikach, przed uczelnią. Wspinałem się na stopnie i zaglądałem do kabin. Ściany wielu budynków popękały, wstępu broniły ogrodzenia i jaskrawożółte taśmy, szczeliny biegnęły od parteru po dach, w oknach czarno. Przemknąłem jedną z przecznic, podobnie rozwalonych i wyłączonych z ruchu, handlu i napadów.

W końcu znalazłem odpowiedni sklep. Witryny miał zalepione reklamami. Przebrałem się i wbiłem do środka. Trafiłem do pomieszczenia z pustymi regałami ustawionymi po jednej stronie. Po drugiej stały skrzynki i kartony z alkoholem. Wyglądało na to, że w miejsce zlikwidowanego spożywczego ktoś rozkręcał monopolowy. Chociaż u nas się nie piło, zabrałem do plecaka, ile mogłem, bo nigdy nie wychodzę z pustymi rękami. Nigdy też nie skaczą dwa razy tej samej nocy. Tym razem było inaczej.

Zdjąłem kask, przysiadłem nad podłużną dziurą w nawierzchni, schowany za ogrodzeniem, i napoczyłem po kolei butelki. Wcale nie miałem ochoty wracać. Co mi nie smakowało, wypluwałem, resztę połykałem. Wina nie miałem czym otworzyć. Utraciłem szyjkę, ale przestraszyłem się, że do środka wpadło szkło, więc zrezygnowałem z próbowania. Jedną porządniej wyglądającą flaszkę zostawiłem na zgodę dla zakonnic. Niestety, musiałem je obudzić, ostatni już raz. Gdybym włożył podarunek do okna życia dopiero rano, mogłyby nie rozpoznać, że to ode mnie. Dostałem nudności od sycących, przesłodzonych likierów pomieszanych z piwami. Przeplukałem usta czystą wódką, dziąsła i język zapiekły i zdrętwiały. Drugi księżyc oddzielał się od pierwszego, wracał i znów się wysuwał, najwyżej do połowy, coś go trzymało. Patrol firmy ochroniarskiej przejechał, telepiąc się, tuż przy murze kamienicy. Kierowca i pasażer siedzieli na fotelach mocno odchylonych do tyłu, jakby się relaksowali w grocie solnej albo szykowali do startu w przestrzeń międzygwiazdną.

Złamałem przeklętą zasadę ostrożności i znów wziąłem rozpęd. Przyciągnęły mnie słabe światła za wysoką witryną. Z daleka nie

rozpoznałem, co to za miejsce, nie sprawdziłem wcześniej, pierwszy raz byłem w tej dzielnicy. Pędziłem, a mimo to czas mi się dłużył. Z tego zniecierpliwienia za wcześnie schowałem głowę w ramionach, za wcześnie wyrzuciłem ciało do przodu i straciłem kontakt z ziemią, i kiedy już miałem uderzyć, nagle szyby rozstały się i zgięty wpół wpałem do przestronnego holu, a zanim wytraciłem pęd na śliskiej posadzce, dotarłem do błyszczącego kontuaru, za którym siedziała dziewczyna w białej koszuli i garsonce. Na mój widok odłożyła książkę okładką do góry, wstała, uśmiechnęła się i powiedziała „dobry wieczór”, a gdy nie odpowiedziałem, zapytała, czy mam rezerwację, na co też nie zareagowałem, i wtedy zaczęła do mnie mówić językami.

Pierwszego w życiu kaca zniosłem niezłe. Bezbolesne pulsowanie w głowie nadało rytm i tempo mojej pracy. W barakowozie było ciasno, nie trzymaliśmy zbędnych rzeczy, żadnych pamiątek ani ozdób. Dwa kubki, dwa talerze głębokie, dwa płytkie, dwa widelce, nóż do krojenia, nóż do smarowania, dwie łyżeczki i łyżki, ale jeden garnek i patelnia, durszlak oraz deska do krojenia mieściły się w jednej szafce z podwójnymi drzwiczkami. Zapasowy zestaw tatko zakałpał gdzieś w ogrodzie. Rzeczy z szafki zawiązałem w kołdrę i koc, zaklepałem ją, żeby się nie otwierała, gdy Apollo ruszy w drogę, stół odwróciłem do góry nogami i przybiłem blat do podłogi ośmioma gwoździemi długimi na palec. Owinąłem całość przezroczystą folią z rolki i do tak powstałego pojemnika wrzuciłem wszystkie kłopoty, razem z wiatrakami, jednym złożonym łóżkiem polowym, firankami, żarówkami i lampami zdjętymi z sufitów. Ładunek zabezpieczyłem dodatkowo poduszką i przykryłem prześcieradłem, którego brzegi przywiązałem do nóg stołu. Drugi komplet pościeli i drugie łóżko polowe tymczasowo zostawiłem, na czymś musiałem spać, dopóki nie ruszę.

Dalej, dalej, pozbyłem się ubrań i butów tatki, później umywalki, sam kran wystarczy, rozmontowałemabinę prysznicową zbudowaną z takiego samego pleksi jak część werandy, wywaliłem dwa piece elektryczne, lodówkę i jedno krzesło, drugie przymocowałem do stołu, oderwałem półki i rzuciłem je na stertę w ogrodzie, za nimi pofrunęły książki, anonimowe jak donosy. Fałszy-



wy piekarnik na razie zatrzymałem, ze stale uchylonymi drzwiczkami, gdybym musiał się prędko schować.

Wnętrze Apolla opustoszało, dźwięki i głos odbijały się od gołych ścian, jakby ktoś powtarzał za mną kroki i te nędze z kurwami, którymi sypałem, gdy coś mnie denerwowało. Wyszło na to, że przywracałem barakowóz do pierwotnego stanu, zanim trafił w ręce tatki. Kto wie, może zamiast ludzi, których się spodziewałem, nawiedzi mnie klaun z dziurą ziejącą w miejsce nosa. Martwy, mściwy buc kucnie przy blaszanej koczce, wciągnie resztki popiołu w zaschnięte płuca i zionie ogniem, od którego zajmą się ściany, podłoga i ja.

Nie wiem, czy to dobra kolejność. Może Apolla trzeba było zostawić na koniec, a najpierw przygotować drogę ucieczki, ale chciałem jak najdłużej pozostać w ukryciu. Czasami wydawało mi się, że słyszę buldożery i spychacze, czuję smród paliwa, widzę kłęby dymu i tłusty popiół osiadający na dachu. Cały dzień mi zleciał na pomiarach i wyznaczaniu trasy, gdzie drzewa stały wystarczająco

daleko od siebie, żeby Apollo między nimi przejechał. Najlepsza droga prowadziła przez grób tatki. Wykarczowałem część krzaków maczetą, niektóre zostawiłem dla hamowania pędu barakowozu. Chodziło nie tylko o ruszenie go z miejsca, ale też sprowadzenie na dół w jednym kawałku. „Nawet jeśli się to uda, co potem?” – pytałem sam siebie. Skąd wezmę samochód albo konie, gdzie znajdę nową ziemię? Nie potrafię planować z dużym wyprzedzeniem, niczego nie robię sam z siebie, ja tylko reaguję na to, co się wokół dzieje. Jestem zbiegiem okoliczności, uciekinierem z prawdziwego zdarzenia.

Piłką do metalu oderżnąłem schody Apolla, odłączyłem go też od prądu, końcówkę kabla zasypałem ziemią i omijałem z daleka. Wyszarpałem rury doprowadzające wodę i odtąd korzystałem z węża ogrodowego. Ponieważ ostatni skok się nie udał, znów byłem bez normalnego jedzenia, ale zawzięłem się, że wytrzymam. Dopóki stąd nie zwieję, będę jechał na odżywkach, potrzebna mi siła. Napęniałem wodą kask, wsypywałem kilka miarek proszku, mieszałem patykiem i wypijałem.

Rankiem usunąłem spod kół blokady z klocków drewna i kamieni, podłożyłem pod nie deski, przygotowałem dla siebie uprzęż i dwie liny. Jedną obwiązałem wokół pnia drzewa na wprost barakowozu i przewlokłem przez metalowe kółko z przodu uprzęży. Drugą przywiązałem do dyszla i połączyłem z pasami, które przechodziły przez moje ramiona. Założyłem rękawiczki, pochylałem się tak, że utrzymywałem klatkę piersiową równoległą do ziemi, i zacząłem mocno ciągnąć linę, równocześnie próbując stawiać silne, pewne kroki do przodu. Wmawiałem sobie, że nic mnie nie trzyma, a przede mną jest tylko szyba.

To nie mogło się udać.

Nic też nie dało dalsze zmniejszanie wagi Apolla. Wyleciał piekarnik maskujący wejście do schronu, szafka kuchenna i wszystkie starannie zapakowane rzeczy, które miały mi się jeszcze kiedyś przydać. Kombinerkami wyrwałem gwoździe z przybitego do podłogi stołu, odkręciłem nogi i wyniosłem razem z blatem i krzesłem. Wystawiłem też na zewnątrz łóżko. Dzień się skończył. Była chyba połowa sierpnia, wieczorami łapał ziąb. Rozpaliłem ognisko z kłózek

i kawałków drewna, pilnowałem, by płomień i dym się nie rozchylały. Przypomniałem sobie dziewczynę z recepcji. Nad ogrodem przeleciały nietoperze. Bałem się wejść do Apolla, zasnąłem na łóżku blisko ognia. Budziłem się w nocy zmarznięty i dorzucałem raz szczapy, raz kartki, a wątle fale ciepła przedostawały się pod koc. O wschodzie słońca wezwałem pomoc.

Pechowo łupnąłem, drzazga wbiła mi się pod okiem. Utknęła w policzku, nie potrafiłem jej wyciągnąć. Rozpędziłem się jeszcze raz, zgąłem kark i uderzyłem czubkiem głowy w Apolla. Z rozciętej skóry połała się krew, starłem ją Krystkowi z twarzy czystym podkoszulkiem. Wyjąłem drzazgę i obejrzałem oko, nie było uszkodzone. Nic się nie martw, powiedziałem, na szczęście jest sucho, ziemia twarda, we dwóch ruszymy tego rzecha. Ty zakładaj uprzęż, chwytaj linę i ciągnij, a ja będę pchał z tyłu.

Wołaliśmy do siebie, aby się zgrać, i raz, i dwa, i nic. Zapałem się jak Chrystus diabła, ale budą ledwo zakołysało. Krystek przysiadł, zziązany niczym kundel w zaprzęgu, a ja sprawdziłem, czy przegapił coś do wyrzucenia z Apolla. Niczego nie znalazłem, trzeba by naruszyć konstrukcję, zerwać dach, wybić okna, wyłamać drzwi, przemielić ściany na wióry, aż zostałyby łysa platforma na kołach. Równie dobrze mógłby porzucić barakowóz i odejść swobodnie, to jednak nie moja sprawa, robiłem tyle, ile Krystek ode mnie oczekiwał, nie pytał o radę, więc trzymałem głowę na kłódkę, a wytrych w kieszeni. Ostatnią rzeczą, której zdołałem się pozbyć, był dynadajacy nad wejściem czerwony nos klauna. Zerwałem go, był lekki, popychany wiatrem toczył się po trawie.

Za Krystka nie mogę mówić, ale ja się przyłożyłem, pchałem, przebierałem nogami w miejscu, z twarzą coraz bliżej tylnej ściany, bo łokcie słabły, przysiągłbym, że słyszę, jak wewnątrz toczy się życie, szcęk sztucców, talerze i szklanki, śmiech, wodę bulgoczącą w garnku, trzaski i zgrzyty, i dudnienie krwi, która zaraz tryśnie mi uszami, bo przecież ten bezużyteczny kłoc ani drgnie, wrósł w ziemię i tylko razem z nią się kręci, a w przeciwną stronę wiruje globus nasadzony na mój kark, stąd te wibracje i narastający wizz, aż nagle cyk, bieguny magnetyczne zamieniają się miejscami i tracę oparcie, lecę na pysk, Apollo rusza, między nami

przybywa ziemi, z tyłu coś upada z łomotem, a ja ciągnę, ile mogę, sunę wzdłuż liny, zasada jest prosta i po mojej stronie, w miarę oddalania się obiektu od ciała niebieskiego wartość prędkości ucieczki maleje, dążąc do zera. Z drobną poprawką: kolor ciała nie ma znaczenia.

Ale to nie tak, że jak raz ruszyłem, dalej samo się toczyło. W końcu miałem coraz mniej sił. Zaciągałem hamulec przy pomocy wajchy, którą zamontował tatko, podkładałem blokady pod koła, żeby barakowóz się nie cofnął, odpoczywałem i następnego dnia zaczynałem ten sam kierat. Twarz mi spuchła od uderzeń, wybiłem sobie górną czwórkę, opadały mi spodnie, więc dorabiałem w pasku dodatkowe dziurki. Po ciężkim wysiłku nie miałem apetytu, czasami nawet nie wypijałem koktajlu, od razu się kładłem. Długo nie zauważałem postępów w pracy. Dopiero gdy odsłonił się schron, poczułem, że coś działo się. Zakopana po brzegi wanna wyglądała jak basen dla dziecka. Utrzymywała się sucha pogoda, odpadów ubywało wraz z każdym wieczornym ogniskiem. Sroki rozgrzebywały popiół i odpędzały inne ptactwo.

Wreszcie zrobiłem korektę kursu. Odwiązałem linę od drzewa na wprost Apolla i tymczasowo przywiązałem do drzewa po przekątnej dla wykonania delikatnego skrętu. Kilka razy wspinałem się na dach, kładłem na brzuchu i sprawdzałem, czy jest dobrze, czy o nic nie zahaczę. Kiedy się udało, zrezygnowałem ze wspomagającej liny. Na wprost była droga w dół. Musiałem doprowadzić Apolla wystarczająco daleko, by potoczył się już bez mojego udziału, ale nie na tyle, abym nie zdążył uciec, zanim przejedzie mi po garbie. Ćwiczyłem tę operację w przerwach. Odpięcie uprzęży i długi skok w lewo. Nie miałem już czego się trzymać, jednak wciąż odruchowo wyciągałem ręce przed siebie, a dłonie zaciskałem do chwytu. I znów utknąłem. Powiniennem przewidzieć, że bez liny będzie znacznie trudniej ruszyć. Byłem zmachany, odłożyłem sprawę do jutra.

Dzisiaj albo nigdy, powiedziałem sobie, kiedy się obudziłem. Postanowiłem zmienić metodę. Zbierają się chmury, jeżeli nie zdążę przed deszczami, ugrzęznę w rozmięklej ziemi. Z całą mocą przywaliłem głową w Apolla, szkoda czasu na jałowe posztur-

chiwania. Zakręciło mi się pod kopułą, a kiedy odzyskałem równowagę, splunąłem pod nogi i wspólnie z Krystkiem zacząłem pchać barakowóz, zamiast go ciągnąć. Do południa minęliśmy grób tatki, wyrównany na płasko z resztą podłoża, zostały na nim ślady opon i butów. Posuwaliśmy się powoli naprzód i unikaliliśmy patrzenia na siebie. Na zmianę sprawdzaliśmy, czy daleko jeszcze do zjazdu, rozumieliśmy się bez słów. Dręczyło mnie pytanie, czy to jest jasne, który z nas odchodzi, a który zostaje. Mimo czujności byliśmy zaskoczeni, kiedy Apollo wymknął się nam spod rąk, nabrał prędkości i pognął w dół. Tłukł się, bujało nim i rzucało na boki, pobiegliśmy jego śladem, Krystek z przodu, potknął się, nie zdążyłem go wyminąć, uderzyłem w ramię, przeokoziółkowałem, spojrziałem za siebie, jakbym kogoś zostawił, ale byłem sam, bo niby z kim, i dalej goniłem Apolla. Chociaż oczyściłem wąską ścieżkę z kamieni, korzeni i gałęzi, chybotął się i podskakiwał, tracił kontury, jakby był narysowany, a gdy zjechał na równy teren, tylne koła gwałtownie się uniosły, zatoczył zamaszty łuk, przewrócił się na bok i szurnął, zgarniając z chrzęstem żwir.

Dopałem do burty. Apollo leżał w poprzek pustej, szutrowej drogi. Nie znałem jej zbyt dobrze, do miasta schodziłem z przeciwnej strony. Za ogrodzeniem na wprost stały niskie budynki zakładu uzdatniania wody. W lewo ciągnęły się działki z altankami, w prawo nowo wybudowane bliźniaki, chyba jeszcze niezamieszkane. Oddałem ziemię i zaprzepaściłem barakowóz. Tylko tyle chciałem ocalić, żeby nie skończyć pod gołym niebem. Gdyby nie ta wywrotka, przyciąłbym się z nim w pobliskich krzakach, wykombinował samochód albo konia i poszukał nowego miejsca. A tak w końcu go zgarną jakieś służby. Jeden facet to za mało, by dźwignąć i postawić taką kolubrynę. Dwóch też nie podoba. Wszedłem na górę i usiadłem na ścianie, blisko okna, bo nie miałem dokąd iść. Załowałem, że wtedy w hotelu nie odezwałem się ani słowem. Zaczęło mżyć. Gładziłem dłonią mokrą głowę, ale wciąż była nierówna, żadnej kuli już nie mogłem z niej utoczyć.

Przestraszył mnie dźwięk klaksonu. Odwróciłem się, za mną stał czarny SUV. Kierowca nie miał jak wyminąć barakowozu, porysowałby karoserię, precyzując się po-

boczem. Wsiadł, rozłożył parasol i o coś zapytał. Ruszył w moją stronę. Zeskoczyłem i wyszedłem mu na spotkanie. Dalej gadał, w ogóle go nie słuchałem. Chyba czegoś się przestraszył, bo nagle się cofnął i stanął obok samochodu. Wyciągnął telefon. Rozpędziłem się i nim zdążył wsiąść z powrotem, walnąłem w drzwi, za którymi się schował. Błacha się wgięła, upadł na plecy. Zawróciłem i zrobiłem poprawkę, mało mi było, więc znowu oddaliłem się biegiem, chwyciłem Krystka za ramię, wyrwał się i poleciał, tym razem trzasnął gościa, a ten rozłożył się na ziemi. Na tylnym siedzeniu w foteliku darł się chłopiec. Złapałem Krystka, zamachnął się, odskoczyłem. Obawiałem się zbliżyć, on zaś szykował się do dalszej demolki.

Wtedy sam wzięłem rozbieg, wyciągnąłem swój, chociaż cudzy łeb przed siebie i grzmotnąłem nim w Apolla. Zimne ognie błysnęły mi przed oczami, pomogłem wstać drugiemu Krystkowi, jeszcze oszołomionemu po uderzeniu, nie traciłem czasu, sprint i bęc, i zaraz Krystków było trzech, a ja czwarty bezimienny, niechciany skurwiol, ale wierny. Przybywało następnych Krystków, złapali pierwszego, łatwo było go rozpoznać, bo mordę miał zalaną krwią. Kierowca wsiadł do auta i zwiął, skąd przyjechał. A ja się uwiązałem, byłem sobą, za moment się rozbijałem i nowy Krystek dołączał, i w końcu więcej nie dałem rady, przy większym wysiłku ciągnęło mnie na wymioty, więc zebrałem wszystkich wokół Apolla i kazałem wspólnymi siłami postawić go na kołach. Którys skoczył na górę po uprzęż i linę, założył i ciągnął, inni pchali już z tyłu, każdy chwycił, gdzie mógł, byle posuwać brykę do przodu, aż tam, za domy, cokolwiek za nimi jest.

Dopiero wtedy się opamiętałem, zawołałem, że pierwszego Krystka nie ma przecież wśród nas, leży w rowie i ani myśli wstać, sam lub z pomocą. Uciekamy razem albo nikt się o krok stąd nie ruszy. Zabrałem Krystkowi z kieszeni klucz i otworzyłem drzwi. Wnieśli go do środka i położyli na deskach. Byłem dobrej myśli, co innego, gdyby spadł z wysoka. Rozpadało się na dobre, deszcz tłukł o dach. Zastukałem pięścią na znak, że możemy jechać, nikt nie odpowiedział. Każdy dodatkowy balast działał jak hamulec, ale zostałem w środku, przy Krystku. W końcu te łachudry wezmą się do roboty i Apollem szarpnie na znak, że ruszyliśmy.

KOMPONOWANIE PRZESTRZENI

KOMPONOWANIE PRZESTRZENI.
RZEŻBY AWANGARDY
COMPOSING THE SPACE.
SCULPTURES IN THE AVANT-GARDE

Aleksandr Archipenko
Jean Arp
Alexander Calder
Naum Gabo
Alberto Giacometti
Julio González
Barbara Hepworth
Maria Jarema
Katarzyna Kobro
László Moholy-Nagy
Henri Laurens
Antoine Pevsner
Aleksandr Rodczenko
Teodor Roszak
Władysław Strzemiński
Władimir Tatlin
Henryk Wiciński
Georges Vantongerloo
Ossip Zadkine
August Zamoyski
i inni | and others

AWANGARDY

Ogrodowa 19, Łódź

ms²

04.10.2019 – 02.02.2020

RZEŻBY

Institucja kultury
Samorządu
Województwa Łódzkiego

ms
Muzeum Sztuki

Łódzkie

Współprowadzona
przez Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków
MKiDN w ramach Programu
Wieloletniego NIEPODLEGŁA
na lata 2017-2021

niedoległa | POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Mecenas
Muzeum Sztuki

S FUNDACJA
RODZINY
STARAKÓW

Partner

opus/film